

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ OPIUM W ROSOLE

Niedziela 30 czerwca 1983 W nocy spadł olbrzymi śnieg. Teraz, w południe, niebo było już czyste: wysokie, szafirowe i pełne chwały. Mróz jak triumfalne solo na piszczałce przeszywał powietrze, a słońce z euforią krzeszło w płaszczyznach śniegu całe chmary zimnych, tańczących, oślepiających płomyczków człowiek czuł się aż niepewnie, dostając za darmo coś tak świeżego, czystego i bezinteresownie pięknego - w tak dużej przy tym ilości. A w ogóle - czy uczciwa osoba ludzka ma prawo tak bezmyślnie cieszyć się urodą świata, który w tej samej przecież chwili zawiera w sobie tyle cierpień, okrucieństwa i zła? Tym mniej więcę torem biegły myśli Maćka Ogorzałki, kiedy tak sobie stał po kolana w zaspie, przed kościołem Dominikanów, w oczach wciąż jeszcze mając obejrzaną przed chwilą Czarną Szopkę. Stał sobie, oddychał głęboko, patrzył na śniegowe iskry, mrużył powieki i myślał, że przeżywa oto jeden z tych niezwykłych i cudownych dni, kiedy się wie na pewno, iż Wszechświat pełen jest absolutnego piękna i doskonałej harmonii, a wszelkie zło i brzydota są tylko dodającą smaku przyprawą, jak szczypta soli w słodkim cieście. Naturalnie, wie się te rzeczy również w dni pochmurne i słotne, lecz jakby z mniejszą oczywistością. Ciekawe dlaczego. Ruszył z miejsca i poszedł po skrzypiącym, migoczącym, bielutkim śniegu - wysoki, zgrabny chłopak o bardzo ładnych oczach i bardzo czerwonych uszach. Mroźny wiaterek igrał z jego bujną, jasną czupryną, bo noszeniem czapki Maciek nie zhańbił się jeszcze nigdy w życiu, od czasów niemowlęstwa, rzecz jasna. Powietrze było dziś jak kryształ, gdyż ruch kołowy w Poznaniu po prostu zamarł z powodu nieprzewidzianych opadów śnieżnych, toteż Maciek oddychał sobie z przyjemnością i czuł się tak, jakby go kto systematycznie napełniał gazem rozweselającym. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że odruchowo prostuje zgarbione plecy i wyżej unosi zwieszoną dotąd głowę. Śnieg iskrzył, słońce się jarzyło. Zastanawiając się nad dziwnym wpływem aktualnego stanu ducha na mięśnie szyjne człowieka, jak również analizując czynniki psychiczne motywujące zwieszanie głowy, bądź jej podnoszenie, i wreszcie dochodząc do wniosku, że przypląwy nadziei mają bezpośredni związek ze stanem kręgosłupa ludzkiego i na odwrót - Maciek Ogorzałka dotarł do przejścia dla pieszych, na którym nie zabawił ni chwili. Jezdnia była jak wymarła, wszędzie pusto, cicho i biało, więc przeszedł ulicę Stalingradzką na ukos. Zanim wszakże dotarł do przeciwnego chodnika - zorientował się, że ktoś go, cholera jasna, śledzi. Obejrzał się. Dzieciak. W dodatku dziewczynka. Dziwaczna jakaś, o ile on się znał na dzieciach. Drobną była i chuda, nóżki miała jak zapalki, buzię brzydką - wyrazistą i komiczną, z oczkami jak czarne wiśnie i plackowatymi rumieńcami w kolorze malin. Rozciągając usta w szerokim uśmiechu, szła teraz za Maćkiem krok w krok i wymachiwała rękami. Unosiła ramiona lub nimi wzruszała, a przy tym co jakiś czas wybuchała monotonnym, rozdzierającym kaszlem, brzmiącym tak, jakby miała zamiar wycharzczyć z siebie płuca. Do Maćka dotarła irytująca prawda, że dziewczynka go przedrzeźnia. Tak jest. Bez najmniejszych wątpliwości. Przedrzeźniała jego sposób chodzenia. Oczywiście, wiedział o tym, że idąc kołysze się na boki i zbyt mocno wymachuje rękami. Brat mu o tym powiedział. Ale to nie znaczy, że przyjemnie mu było wieść za sobą swą własną parodię. W osiemnastym roku życia Maciek wyrósł bujnie a nagle. Kiedy patrzył na swoje ręce, zdumiewało go, że są takie długie, a to samo dotyczyło nóg, które, oczywiście, były jeszcze dłuższe. Maciej Ogorzałka - romantyk o charakterze eksplozywnym i dość znacznie rozbudowanej ambicji - uważał, że niestety cholerny los skarał go tym wzrostem, że wygląda jak Alicja w krainie czarów po zjedzeniu wiadomego ciasteczka i że jest teraz, krótko mówiąc, dziwacznie nieproporcjonalny. Nie był. Sylwetkę miał, że daj Boże każdemu, a do tego twarz Kmicica, nos orli, uśmiech ujmujący, a wejrzenie uczciwe i śmiałe. Co zaś do jego

sposobu bycia, cechował się on nieco przesadną powagą i godnością, którymi Maciek starannie rekompensował swe wyimaginowane defekty. Zmarszczywszy teraz czarne brwi. Maciek wzruszył ramionami i przyspieszył kroku. Dotarł do końca zadrzewionego skweru, przez cały czas jednak słyszał za sobą zimny śniegowy chrzęst oraz rżący kaszelek, który rozlegał się z nieprzyjemną monotonią co kilkanaście sekund. Smarkata utrzymywała doskonale tempo. Niesamowity dzieciak. Przez cały czas udawało się jej zachować stałą odległość od Maćka - pięć metrów, mniej więcej. Z tej też odległości małpowała każdy jego ruch. On w prawo - ona w prawo. On w lewo - ona też. On przystaje - ona jak wmurowana. Odwrócił się ku niej gwałtownie. Stała jak wryta. Umknęła wzrokiem. Najpierw spojrzała w niebo, potem na ośnieżone koronkowe drzewa, zakaszła gromko, jak woźnica, splunęła i z zajęciem poczęła oglądać własne buty. „Skończymy teraz z tym idiotyzmem - pomyślał twardo Maciej Ogorzałka. - Załatwimy sprawę po męsku, cholera jasna psiakrew!” - Wbił w dziewczynkę spojrzenie surowe i ostre. Prędzej czy później będzie musiała na niego spojrzeć, a wtedy pojmie wszystko z wyrazu jego twarzy. Popatrzała... Takie figlarne, złośliwe zerknięcie, jakby lada moment miała wybuchnąć śmiechem. Ich oczy się spotkały i Maciek przez sekundę miał wrażenie, że mała raczej go lubi. Jednak natychmiast potem zrobiła tak ohydna minę, że przeszły go ciarki. Czując się jak w sennym koszmarze, Maciek wykonał zwrot na pięcie i szybko ruszył przed siebie. Przebył z chrzęstem zaśnieżona, skrząca się jezdnię i pospieszył stromym chodnikiem wzdłuż Teatralki. Miał nadzieję tu właśnie się urwać. Były na to pewne szanse. Stawiając wielkie kroki i posuwając się naprzód tak szybko, jak tylko mógł bez posądzenia o chęć ucieczki, Maciek pomyślał, że samopoczucie i obraz świata kształtują się, psiakrew, w dziwnej zależności od nieoczekiwanych drobiazgów. Na przykład, jeszcze dziesięć minut temu snuł jakieś mrzonki na temat doskonałej harmonii we Wszechświecie. Teraz mu przeszło. Jaka znowu, psiakrew, doskonała harmonia, skoro - niedaleko szukając - tuż za nim posuwa się dysonans tak zgrzytliwy, jak ta ohydna ze wszech miar smarkula? Znaleźli się teraz w okolicach Teatralki - malowniczy ten skwer położony jest na zboczu wzgórza, którego szczytem przebiega ulica Fredry. Samo wzgórze ze swym ostrym spadem i długim odcinkiem łagodnej pochyłości nadaje się do wielu rzeczy: do biegów, do sadzenia begonii, do czynów społecznych, najlepiej jednak - do saneczkowania. Dziś, w tak wyjątkowo śnieżną i słoneczną pogodę, kłębiła się tu nieprawdopodobna ilość dzieci, odzianych w charakterystyczne dla naszych czasów czerwone i szafirowe ortalionowe kurteczki o jednakowym z grubsza kroju. Dzieci te, nadające śnieżnemu wzgórzcu dość monotony kolorystycznie wygląd, oddawały się w zasadzie trzem typom zajęć: albo czekały z sankami na swoją kolei albo właśnie zjeżdżały, albo już zjechały i teraz mozolnie pięły się pod górę boczkim trasy. Po białej stromiźnie zsuwały się bezustannie coraz to nowe kohorty sanek, wyładowanych kwiczącymi rumianymi postaciami. Tu i ówdzie gburowate wyrostki ślizgały się na obcasach, strasząc grzecznych malców i rozdzierając powietrze ochryplymi rykami, od czasu do czasu jakiś dzielny narciarz z przerażeniem wypisanym na buzi szusował heroicznie w dół, a na szczycie wzgórza przytupywało zziębnięte, wierne, wytrwale wyczekujące stadko rodziców. Było ich dzisiaj tylu, że gromadzili się nawet na chodniku w sposób zagrażający porządkowi publicznemu i politykowali sobie dla przetrwania tych mroźnych godzin nudy. Maciek przeszedł pomiędzy stojącymi - swobodny i odprężony. Nie musiał już oglądać się za siebie. Szóstym zmysłem wyczuwał, że zgubił smarkulę na dobre. Spokojnie więc minął tor saneczkowy przebył Most Teatralny, dotarł do ulicy Roosevelta - i tu dopiero poczuł w plecach jakby mrowienie. Spojrzał nerwowo. Już była. Musiała chyba przegalopować na ukos całą Teatralkę. Teraz - pękając ze śmiechu, dysząc, kaszłąc i smarkając, cała w rumieńcach od biegu po mrozie, deptała mu niemal po piętach, pełna nowego zapału. Coś w Maćku jakby eksplodowało z oślepiającym błyskiem. Skoczył ku niej w ostatecznej furii, nie wiedząc, co czyni i co chce jej uczynić - ale ona była szybsza, oczywiście. Wpadła do bramy najbliższej kamienicy i przytała się gdzieś w jej mrocznej

czeluści. No, nie. Nie będzie przecież ganiał dziewczynek po bramach. Od kamienicy numer pięć, gdzie mieszkał, dzieliły go jeszcze dwa domy. Maciek obejrzał się błyskawicznie i jak ścigany pobiegł przed siebie co sił w nogach. Wskoczył do bramy, zatrzasnął ciężkie drzwi o kobaltowych szybkach i oparł się o nie plecami. Zaraz potem, strofując się i w duchu sam przed sobą się wstydząc, odchylił jedno skrzydło drzwi i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Dziewczynka stała w dziwnej pozie, pochylając się niemal do ziemi i ręce opierając o ugięte kolana. Przekręcała przy tym głowę w bok wpatrując się z uwagą w okna sutereny - i Maciek, który natychmiast schował się do bramy, miał dziwną pewność, że te okna należą akurat do jego mieszkania. Kluski ziemniaczane, jak szary parujący kurhan, spoczęły na olbrzymim, niebieskim półmisku z przedwojennego fajansu. Pani Marta Lewandowska obłożyła je ze wszystkich stron kopiałymi porcjami kwaszonej kapusty, ugotowanej z listkiem bobkowym i kminkiem. Właśnie zaczęła wylewać na kluski skwierczący tłuszcz ze skwarkami i cebulką - gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Ze spokojem dokończyła, co zaczęła. Połała równiutko całą kluskową górę, sprawiedliwie rozłożyła skwarki - a tymczasem dzwonek się powtórzył. W chwili zaś, gdy pani Marta otarła dłonie ściereczką - zadzwoniono po raz trzeci, długo i natarczywie. - Czemu nikt nie otwiera? - krzyknęła w stronę jadalni. Ale nie została usłyszana. Rodzina Lewandowskich kończyła spożywanie rosółu z wołowiny. Przy stole panował rozgwar i szcęk jak na polu bitwy. Sztuńce zgrzytały o fajans, co chwila wybuchały głośnie spory, zrywał się huraganowy śmiech albo też po prostu wszyscy mówili jednocześnie, każdy o swoim, jak to w rodzinie. Zapewne nawet nie słyszeli dzwonka. Pełna obaw, czy smakowite kluski nie wystygną, pani Lewandowska pospieszyła więc do drzwi wejściowych, marszcząc z lekka czarne brwi i odruchowo poprawiając uczesanie - ciężki kok upięty z czarnych, siwiejących mocno warkoczy. Pani Marta była kobietą słusznej postury, toteż gdy otworzyła drzwi, wzrok jej zawisł na wysokości metra siedemdziesiąt, gdzie w powietrzu nie było nawet muchy. Dopiero na bąknięte gdzieś z dołu „dzień dobry” opuściła oczy i ujrzała na progu chudą, niedużą dziewczynkę. Dziecko mogło mieć ze sześć lat. Ustrojono je w drogi kożuszek, czerwony berecik z prawdziwego mohairu, takiż puszysty szalik oraz eleganckie skórzane botki zagraniczne na grubej plastikowej podeszwie. „Kto to widział tak stroić dzieciaka?” - pomyślała, oceniając wartość botków na mniej więcej półtorej męzowskiej pensji. - Dzień dobry - odrzekła. - Czego chcesz, mała? Dziewczynka podniosła na nią czarne oczy dygnęła i uśmiechnęła się szeroko, ukazując mnóstwo różnorodnych zębów i szczerb. - Przyszłam na obiad - oznajmiła. Pani Lewandowska zacukała się z lekka. - Proszę? - wyrwało się z jej obfitego łona. - Na co? - Na obiad - powtórzyła dziewczynka z leciutkim zniecierpliwieniem i przełknęła ślinę. Głodna jest! - mignął w umyśle pani Marty sygnał alarmowy. Pani Marta była jedną z tych osób, które nie potrafiłyby z pewnością napisać pracy naukowej, ani też poematu, ale które za to bez wahania przygarną bezdomnego kota, bez narzekań wychowają gromadę dzieci, bez zastanowienia zajrzą do chorego sąsiada i bez niczyjej namowy przynosić będą zakupy bezradnej staruszce. Należała do tego cichego i niemal niedostrzegalnego gatunku ludzi, bez którego życie każdego społeczeństwa zmieniłoby się w istną dżunglę. Przez cały czas rozmowy miała świadomość, że w kuchni stygnie wielka ilość klusek, a zimne kluski, skąpane w skręptym tłuszczu, mogą poważnie zaszkodzić nie tylko jej kulinarnej sławie, ale i żołądkom domowników. - No, to chodź - powiedziała więc po prostu i odsunęła się z przejścia. Sprawnie zdjęła z małej czapkę i kożuszek, po czym szybko poprowadziła ją za sobą. Kluski nie zdążyły jeszcze ostygnąć. Pani Marta dźwignęła oburącz ciężki półmisek i wiodąc za sobą małego gościa, pospieszyła do jadalni. To był właśnie ten pokój w suterenie, którego okna wychodziły na chodnik ulicy Roosevelta. Przy długim stole, spowici przytłumionym światłem bijącym z górnych tylko części okien (dolne bowiem znajdowały się już poniżej poziomu chodnika) siedzieli wszyscy członkowie rodziny Lewandowskich, zaproszeni tu dziś na niedzielny obiad. Byli więc trzej przystojni, wąsaci i czarniawi synowie pani Marty, jej wąsaty i siwy mąż Franciszek oraz

gruba, nieśmiała i wciąż uśmiechnięta synowa Mariolka z półrocznym niemowlęciem. Niemowlę wypluwało smoczek i zanosilo się co chwila śmiechem pełnym czystego szczęścia, pan Franciszek łaskotał je pod brodką i przemawiał czułym basem, synowie przekrzykiwali się gromkimi barytonami, jedna tylko synowa Mariolka nic nie mówiła, bowiem ze spokojnym uśmiechem na ustach kończyła właśnie jeść blady rosół z kawałkami gotowanej wołowiny. Wejście matki z wielkim półmiskiem powitano okrzykami uznania. Wśród gwaru i zapachu nikt nie zwrócił uwagi na dziewczuszkę, kroczącą śladem pani Marty. Uśmiechając się bezwiednie, dziewczynka usiadła więc na wolnym krześle obok pana domu i rozglądała się wokół z niezwykłym zajęciem. Pani Lewandowska uplasowała uroczyście półmisek pośrodku stołu, zasiadła i powiedziała: - Jedz, dziecko - stawiając przed dziewczynką talerz z rosółem. Zachęcała domowników, by brali się za kluski, po czym nałała wreszcie i sobie. Posiłała się godnie, bez pośpiechu, spoglądając bokiem na dziewczynkę. Zauważyła, że mała nie jest specjalnie wygłodzona. Jadła chętnie, lecz nieuważnie, zajęta przede wszystkim tym co działo się przy stole. Poufałe żarty, docinki i rozmowy zdawały się ją zachwycać. Wodziła lśnącymi oczami od jednej osoby do drugiej i radośnie wtórowała każdemu wybuchowi śmiechu. Mocne rumieńce wystąpiły na jej pociągłą buzię, nakrytą czarną, sztywną i błyszczącą czupryną, sterczącą na wszystkie strony. Po obu stronach głowy wykwiwały z tych sterczących kosmyków duże różowe uszy, łączące się w wesołą całość z cienkim, spiczastym noskiem - a to przy pomocy nadzwyczaj szerokiego uśmiechu. „Istny język - pomyślała pani Marta, sięgając po kluski. - Ale też kaszle okropnie, powinna leżeć w łóżku co najmniej tydzień”. Nałożyła sporą porcję klusek na talerz dziewczynki, przydała skwarek i kapusty. - Jedz, to dobre - mruknęła zachęcająco w odpowiedzi na pytające spojrzenie małej. Nie bardzo miała ona zaufanie do tych szarych kluseczek. Gmerała w talerzu widelcem, obwąchiwała danie ze wszystkich stron i nie mogła...